Opłata pocztowa uiszczona gotówką. Cena 25 gr.

PŁOMIEŃCZYK

CZASOPISMO

„Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka“ *ADAM SKWARCZYNSKI*

ROK II WARSZAWA LIPIEC 1938 NR. 5 (12)

U ŹRÓDŁA OPORU

Dookoła zagadnienia konsolidacji rozwinęła się szeroka i wielostronna dyskusja. Hasło politycznego zjednoczenia, choć nie weszło do dziś jeszcze na konkretne realizacyjne tory, zdołało jednak trafić do przekonania ogółu, stając się powszechnie uznanym aksjomatem. Co więcej, dyskusja ujawniła, że różnice ideowe, jakie istnieją pomiędzy narodowymi odłamami społeczeństwa, są tak nikłe i nieistotne, że trudno je uważać za poważną przeszkodę do powstania jednolitego obozu narodowego.

W praktyce jednak sprawa zjednoczenia bynajmniej nie wygląda tak wesoło. Podejmowane tu i ówdzie próby konsolidacji społeczeństwa, niezależnie od tego, kto jest ich inicjatorem, natrafiają z reguły na nieufność i brak entuzjazmu.

Przyczyny tego się szuka zazwyczaj bądź w przyrodzonych cechach psychicznych Polaków, bądź w niedokładności czy też w nieumiejętnym wyborze środków organizacyjnych. Laboratoria polityczne rozmaitych odcieni, działające z błogosławieństwa najwyższych czynników Państwa lub na własny koszt i ryzyko, biedzą się w pocie czoła nad wynalezieniem kamienia filozoficznego konsolidacji. Szukają jakichś niesłychanie rewelacyjnych i porywających sformułowań, które w sposób niezawodny mają przemówić do wyobraźni biernych mas; głowią się nad skonstruowaniem jakichś arcy-pomysłowych systemów i schematów, które by zagwarantowały ujęcie jednostki w karby żelaznej dyscyplipliny.

Wszystkie projekty tego rodzaju są nacechowane zazwyczaj głębokim przemyśleniem, noszą na sobie ślady wielogodzinnych rozważań i dyskusyj. Tylko, że najczęściej posiadają jedną, pozornie drobną lukę. Nie biorą, mianowicie, zupełnie pod uwagę tego, że takich projektów powstaje bardzo wiele, że te same hasła narodowe są rzucane przez rozmaite firmy polityczne, z których żadna nie może się pozbyć przeświadczenia, że konsolidacja powinna się odbyć właśnie pod jej sztandarem.

Ta inflacja inicjatywy w kierunku jednoczenia społeczeństwa bodaj czy nie jest największym i najważniejszym powodem niepowodzenia wszystkich podejmowanych dotychczas prób. Społeczeństwu bowiem, z nielicznymi tylko wyjątkami, w gruncie rzeczy są obce spory na temat orientacji politycznej w znaczeniu grupowym.

Społeczeństwo — to znaczy owe masy robotników, drobnych przedsiębiorców, włościan czy urzędników X-tej kategorii, pragnie konsolidacji przede wszystkim dlatego, że wierzy, iż zapewni ona jemu spokojną pracę, pewność jutra i polepszenie — jakże dziś mizernych! — podstaw egzystencji. Społeczeństwo poza tym w olbrzymiej większości czuje, że jest polskie, że drogie są dla niego te wszystkie wartości, jakie się składają na pojęcie narodu, że nie chce do utraty lub pomniejszenia tych wartości dopuścić. Społeczeństwo jest przygotowane do przyjęcia każdego systemu konsolidacji, byle by mu gwarantował wszystkie te — bynajmniej nie wygórowane — postulaty.

Ale skoro tych systemów jest zbyt wiele; skoro identyczne w zasadzie hasła są podawane przez różne ugrupowania, które się wszystkie mienią narodowymi; skoro wreszcie przez ugrupowania te nagminnie jest stosowana zasada: — „kto nie z nami, ten przeciw nam“, — jakżeż można się dziwić, że społeczeństwo jest zdezorientowane, nieufne i zniechęcone; jakże można w tych warunkach liczyć na dokonanie się zjednoczenia?

* * *

Wydaje się, że rozwiązania zagadnienia konsolidacji należy szukać nie wśród mas, nie w labiryntach narodowego charakteru, ani też w genialnych sformułowaniach czy wymyślnych metodach organizacyjnych. Wydaje się, że należy je szukać raczej w tej cienkiej, górnej warstwie, która gromadzi czynnych polityków, w tych ośrodkach inicjatywy, jakie nadają ton i urabiają opinię. Należy sądzić, że właśnie tu, wewnątrz sztabów politycznych, jest właściwe siedlisko oporu, na jaki natrafia sprawa zjednoczenia.

Trudno wprawdzie przypuścić, aby wśród dzisiejszych ugrupowań narodowych znalazły się takie, które by poważnie negowały twierdzenie o nieaktualności dawnych linij podziału. Twierdzenie to stało się już dziś truizmem. A jednak, żadne bodaj z tych ugrupowań nie może zerwać z jakimś dziwnie uporczywym przyzwyczajeniem do starych szyldów i wypłowiałych etykietek.

Narodowcy, którzy się wychowali w obozie legionowym, boczą się na swoich „opozycyjnych“ współwyznawców, mimo że

napewno trudno by im było dziś określić, na czym właściwie ta ich „opozycyjność“ polega. Tamci znowu, odpłacając pięknym za nadobne, nie mogą się wyrzec przyjemności uszczęśliwiania pierwszych tytułem „sanatorów“, choć napewno dobrze wiedzą, że „sanacja“ dawno umarła na gwałtowną dekompozycję i, że nazwa ta nic właściwie dzisiaj nie określa.

Wbrew rozsądkowi i logice, życie polityczne ugrupowań narodowych przepływa wciąż w klimacie jakiegoś małostkowego plotkarstwa, które ważniejszymi czyni koligacje i rodowód, niż istotną wartość człowieka czy zespołu.

Jest to niewątpliwie w dużym stopniu pozostałość dawnych uprzedzeń i zadrażnień. Potrzeba wszak pewnego czasu na to, aby doznane urazy zatarły się i zbladły w pamięci. Ale można niestety, mieć obawy, że jednak nie tylko odblaski dawnych antagonizmów przeszkadzają dziś rozproszeniu niezdrowej atmosfery. Można mieć obawy, że atmosfera ta jest w stopniu jeszcze większym wynikiem ukrytych, ale wytrwałych wysiłków licznych mafij i klik, jakie się rozsiadły wygodnie po obu stronach zmurszałego muru, pielęgnując starannie jego ruiny.

Pod maską bowiem tradycji i patriotyzmu grupowego kryje się niejednokrotnie pospolity strach o utratę osobistych wpływów lub przywilejów; powoływanie się na dziedzictwo po takiej czy innej wielkości ma często na celu popro-stu, zabezpieczenie wygodnych koncesyj lub ich zdobycie.

W tym oto smutnym objawie należy szukać istotnego źródła oporu, który uniemożliwia porozumienie bliskich sobie ideowo odłamów i ostateczną likwidację sztucznych przegród dzielących narodową myśl polityczną na partykularne zaścianki. Im prędzej opór ten będzie przezwyciężony, im prędzej zostanie zniszczone jego źródło, tym bliższa chwila dokonania się politycznej konsolidacji i ostatecznego zwycięstwa Idei Narodowej.

Ale nie szukajmy źródła oporu tam, — gdzie on jest najmniejszy. Nie tłumaczmy niepowodzeń jedynie biernością mas lub nietrafnym rozwiązaniem organizacyjnych problemów. Są to czynniki, które posiadają niewątpliwie swoje znaczenie, ale nie są najważniejsze.

Szukajmy oporu przede wszystkim wewnątrz samych ugrupowań narodowych, w ich kierownictwach i sztabach.. Sięgnijmy do wnętrza swoich własnych placówek politycznych i zbadajmy dokładnie i bezstronnie czy nie dolewamy wody do ognia zjednoczenia? Sprawdźmy rzetelnie wagę swoich grupowych postulatów i haseł — czy nie okaże się fałszywą, mimo że każemy w nią wierzyć bez zastrzeżeń. Zajrzyjmy wreszcie we własne sumienia i postawmy sobie surowe pytane — czy przypadkiem w nas samych się nie kryje zamaskowane źródło oporu?

JERZY PODOLSKI

O POLSKIE IDEAŁY WYCHOWAWCZE

Ogólny kryzys ideowy, jaki przeżywa społeczeństwo polskie, niezwykle mocno odczuwa się w dziedzinie t. zw. spraw wychowawczych. Każdy myślący człowiek rozumie znaczenie wychowania, a zarazem niemal każdy tyle tylko potrafi na ten temat powiedzieć, co można wyrazić wzruszeniem ramion bądź westchnieniem, z odwołaniem się do dawnych czasów czy też przykładu z życia naszych sąsiadów. Rzeczywiście, powszechnie odczuwa się, zwłaszcza w sferach nauczycielskich i pedagogicznych, że najważniejsze ośrodki myśli i inicjatywy wychowawczej, tak urzędowe, jak i nieurzędowe zostały jak gdyby sparaliżowane. Beznadziejny marazm i zniechęcenie niejako z góry unicestwia każdy poryw, chęć szukania wyjścia z ciężkiej sytuacji. Bo przecież patrzymy, jak się marnuje młode pokolenie, wykoszlawia ideowo; wchodzi w życie bez entuzjazmu twórczego, wchodzi bez przygotowania, w postawie „dojutrkowania“, relatywizmu duchowego i grubego materializmu. Starzy już tej młodzieży nic dać nie mogą. Skłuceni, sami szukają prawd mocnych i trwałych, które byłyby ostoją przyszłego ładu w Rzeczypospolitej. Dlatego powszechnie zaczyna się słyszeć zdanie, że szkoła jest odbiciem tych prądów i walk, jakie istnieją w społeczeństwie. Gdy w szeregach starego pokolenia skrystalizuje się określona ideologia, wtedy i w szkole można będzie ustabilizować ideały wychowawcze...

I dalej trwamy w błogim spokoju. Marnuje się czas, marnuje się energia narodowa, gdy nasz zachodni sąsiad realizuje hasło Hitlera — „Istotą rewolucji nie jest zdobycie władzy, ale wychowanie“.

Przesadą byłoby niewątpliwie powiedzenie, że w zakresie wychowania nic się u nas nie robi. Jedynie nowe siły, świeże ożywcze soki nie zasilają myśli pedagogicznej w Polsce. Natomiast szkoła, jako jeden z najważniejszych terenów oddziaływania wychowawczego, po dawnemu, siłą inercji, daje pewne quantum pracy wychowawczej będąc odzwierciadleniem zarazem naszego bankructwa ideowego, bowiem myśl wychowawcza w Polsce po dawnemu jeszcze tkwi korzeniami w pedagogice internacjonalnej, liberalnej „psychologizującej“.

Wszak znane jest t. zw. nowinkarstwo w naszym kraju. Jak to chętnie naśladujemy innych, nie dbając o własną oryginalną twórczość i nie szanując tego, co sami posiadamy. Tak jak w słynnych już dziś reformach socjalnych (ubezpieczenia) zabraliśmy się i w dziedzinie pedagogicznej do gromadzenia (zaraz po wywalczeniu niepodległości) tego, co naszym zdaniem najlepszego wymyślono na zachodzie i w Ameryce.

Jak skrzętna pszczoła ściągaliśmy do siebie owoce pracy pedagogów francuskich, belgijskich, amerykańskich, budując „szklane domy“ polskiego wychowania.

A więc specyficznie pojęta miłość ogólno-ludzka, humanitaryzm, braterstwo, poza tym antymilitaryzm, przesadny indywidualizm i subjektywizm — oto kwiatki z tej iście „oślej łączki“ naszej pedagogiki.

To, co może w innych warunkach politycznych i kulturalnych świata godne byłoby najwyższego uznania, w rzeczywistości polskiej stało się raczej szkodliwe. Bo właśnie racje stanu Polski wymagają i militaryzmu, i karności, i objektywizmu, i wielkiego zwarcia się narodowego, i konsolidacji.

Nic też dziwnego, że z takich źródeł poczęta pedagogika w Polsce (nie polska pedagogika — termin ten oznacza co innego) nie może się poszczycić poważnymi rezultatami.

Odwrotnie, wpływała ona raczej ujemnie na wzmocnienie więzi społecznej, pogłębiała wady naszego charakteru narodowego, jak zbytni indywidualizm, subiektywizm, mazgajstwo i t. p.

I jakoś dotąd jeszcze nie widać na tym polu poważnej poprawy. Straciły wprawdzie na ostrości owe słynne „wiwisekcyjne“ badania psychologiczne młodzieży, kiedy to analiza przeżyć, jaźni i obserwacja dzieciaka była alfą i omegą postępowania wychowawczego; zaczyna się już mówić i o błędach t. zw. wychowania neutralnego, opartego o zasady bezinteresowności, podkreśla się mocniej czynnik nie tylko swobody, ale i karności w wychowaniu, dyscypliny, elementu woli. Ale po staremu zagłusza życie frazeologia, teoretyzowanie, brak związku z polską rzeczywistością, z wymaganiami polskiej racji stanu.

Po dawnemu powtarza się ogólniki (np. w rodzaju — „wychowanie — to walka ze światem o pełnię człowieczeństwa“ i t. p.) *) miast wiązać to wychowanie z potrzebami narodu i państwa polskiego, z tradycją, duchem i twórczością rodzimą polską.

Liberalizm wychowawczy wraz ze swoimi akcesoriami jak indywidualizm, subiektywizm i t. p. budzi w duszy człowieka czującego narodowo i zdającego sobie sprawę z przemian, dokonywujących się w świecie (zwłaszcza u naszego bezpośredniego sąsiada z zachodu), poczucie krzywdy. Krzywdy, jaka się dzieje interesom żywotnym narodu i państwa polskiego. Nie pomogą deklaracje o ludzkości, człowieczeństwie, kulturze, demokracji i t. p.

Nie przysłonią one faktu, że kroczymy złą drogą. Twarda rzeczywistość życiowa ma swoją wymowę, swój wyraz i swe prawa. Tych praw przełamać się nie uda. Piękne ideały ogólnoludzkie, oderwane od rzeczywistości, nie budzące zrozumienia u wszystkich, nie stosowane praktycznie, przynoszą tylko krzywdę i szkodę narodom i państwom.

Subjektywna wiara w słuszność swojej sprawy, w oderwaniu od opinii innych państw i tego, co tam się działo, już raz doprowadziło Polskę do katastrofy.

Szlachcic uważał, że Polska powinna była być słaba (dlatego właśnie „nierządem stała“), a nikt jej nie ruszy. Nie zwiększano armii na wzór sąsiadów, nie przeprowadzano reform wewnę-

*) Bohdan Suchodolski „Oświata i Wychowanie“.

trznych. No i cóż? Ruszono Polskę! Kosztowało to nas przeszło 100 lat niewoli.

Nie możemy i obecnie pozwolić sobie na ideały internacjonalne, które jak że często pod przykrywką szlachetności i humanitaryzmu mają na celu osłabienie wewnętrzne spoistości społecznej, poczucia narodowego.

A z drugiej strony musimy się orientować, że każdy zdrowo rozwijający się organizm społeczny (podobnie jak i ludzki) podlega pewnym regułom rozwoju. To chęć ekspansji, rozrostu. Rozrostu kulturalnego i gospodarczego.

Chcemy żyć i zdrowo rozwijać się, tak jak inne narody, wolne. Wychowanie jest najistotniejszą funkcją i sprawdzianem tego rozwoju.

Obecny poziom tego wychowania wskazuje, że nie rozwijamy się zdrowo. Jeszcze najlepsze określenie to było by, iż szukamy dróg rozwoju. Właściwe zaś określenie: — jesteśmy na złym szlaku, ale i tu oglądamy się, marudzimy. Ponosimy jeszcze konsekwencje naszego wyboru, robimy to jednak z co raz to mniejszym przekonaniem. Stąd ten marazm, bezruch, duszne powietrze na polu działalności wychowawczej.

Czekanie, aż skrystalizuje się ideologia polityczna, ustabilizuje się życie polityczne? Tymczasem życie nie czeka. Na innych polach toczy się przynajmniej walka. Tu bezruch.

W dziedzinie gospodarczej np. już dawno skończyliśmy z liberalizmem, uznając słusznie, że nie nadaje się do obecnych form gospodarczego współżycia narodów.

W pedagogice na ogół bez zmian.

* * *

Najwyższy czas, abyśmy pomyśleli o reformie wychowania w Polsce. Nie czekać i nie zwlekać! Chodzi bowiem o podstawy bytu i rozwoju narodowego i państwowego.

Wychowanie zajmuje po armii drugie miejsce w zestawieniu najważniejszych potrzeb państwa. Należy zatem zrewidować swój dotychczasowy stosunek do tego zagadnienia. A przede wszystkim podjąć na polu pedagogii i pedagogiki wysiłki w kierunku tworzenia podstaw polskiej myśli i praktyki wychowawczej.

Musimy się uwolnić od obcych naleciałości, nie związanych z psychiką, charakterem i duszą polską, jak również od tych elementów wychowawczych, które z punktu widzenia interesów narodowych wpływają na społeczeństwo, jak i na jednostki, niekorzystnie.

Twórzmy polską pedagogikę:

1) opartą na polskich wzorach, których nie brak w rodzimej historii i literaturze naukowej.

2) ściśle związaną z rzeczywistością polską, liczącą się ze stanem stosunków międzynarodowych, zwłaszcza w łączności z naszym położeniem geopolitycznym.

Musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że mamy wychować w Polsce nowego człowieka, innego niż obecnie, którego „otrzymaliśmy" w spadku po niewoli.

Psychika i charakter obecnie żyjącego obywatela polskiego układały się pod różnorakimi wpływami, tak zarówno pewnych refleksów z czasów szlacheckich jak i okresu niewoli, czy też pierwszych lat niepodległości.

Psychika ta wykoszlawiona, zdeformowana, nie raz spaczona, musi ulec poważnym zmianom w kierunku usunięcia naleciałości oraz wykształcenia nowych cech, potrzebnych narodom, które chcą utrzymać swój był niepodległy i odegrać pewną rolę w świecie.

Dlatego wychowanie abstrakcyjno-humanitarne nam nie odpowiada, jak również nie odpowiada pogląd nacjonalistyczno-materialistyczny.

Pragniemy wychowania narodowego, opartego na poczuciu ścisłej łączności jednostki z całością narodu, i jego kulturą, tradycją, aspiracjami na przyszłość.

Interes narodu jest tu najwyższym sprawdzianem wartości i użyteczności. Dobro, piękno, sprawiedliwość to nie są abstrakcje, ale konkretne zjawiska i funkcje, które na gruncie narodowego spółżycia zapewniają im byt w pojęciu ogólnoludzkim. Ale przez naród i dla narodu i państwa własnego.

Z tego punktu widzenia ważną rzeczą jest wychowanie polityczne młodego pokolenia, które musi poznać swój naród, jego braki, potrzeby, zadania. Bezpłciowy humanitaryzm nigdy nie da sił dostatecznych do walki twardej, jakiej wymaga chwila obecna, z tymi trudnościami, z jakimi spotyka się naród.

Przez poznanie, a następnie współpracę, wreszcie czyn twórczy, młodzież ukształtuje swą duszę i charakter na modłę potrzeb i wymagań chwili i epoki.

Zdobędzie swą własną prawdę, będącą zarazem prawdą narodową, żywą ideą narodu.

To co obecnie obserwujemy w życiu i wychowaniu młodzieży, można nazwać abstrakcyjnym idealizmem. Polega on na oszukiwaniu samego siebie, nieróbstwie, rozładowaniu charakteru (niekarność). Tylko konkretne zadania, związane z interesem publicznym, narodowym wyrobią w młodzieży poczucie odpowiedzialności i zaprawią do twórczej, uczciwej i rzetelnej pracy. Taka zaś praca dopiero ukształtuje charakter, wychowa ludzi mocnych, a o takich nam tylko chodzi.

W tym oto kierunku, w naszym przekonaniu, należy podjąć pracę nad stworzeniem podstaw wychowania narodowego w Polsce.

Wychowanie to, będąc syntezą przeszłości i teraźniejszości polskiej, ma stworzyć ideę, formy i metody pracy obierane na przyszłość, a których celem jest jedność, wielkość i potęga gospodarcza, polityczna i kulturalna narodu i państwa polskiego.

MACIEJ WYSZOMIRSKI

BLASKI I CIENIE

WILKI W OWCZYCH SKÓRACH.

Prasa codzienna przyniosła ostatnio świeżą serię notatek o procesach antykomunistycznych. Niby w zasadzie nic ważnego: — takie sobie drobnostki, w przewartościowaniu na „walutę" kryminalną warte co najwyżej trzy, dwa, a nawet jakiś tam marny rok więzienia.. Repertuar też — trzeba przyznać — ubożuchny; bo to przeważnie burdy uliczne, jakiś nielegalny pochodzik, albo zawieszenie na drutach telefonicznych, dość zresztą niemądrego, transparentu.

Notatki się gubią wśród petitowych kolumn, w powodzi o wiele ciekawszych aktualności w rodzaju najnowszych kłopotów pani Suchestow, albo porażki popularnego boksera... Niekiedy wprawdzie jakiś barwniejszy kwiatek, jak — powiedzmy — ostatni wpadunek obiecującego braciszka osławionej panny Lewickiej, zwróci na siebie przelotną uwagę statecznego obywatela, ale chyba po to tylko, aby przy „pół-czarnej", albo i całkiem przy „jednym z kropelkami", posłużyć za temat do srozenia się nad nieudolnością władz lub (o ile obywatel jest starszy) do tęsknych porównań z niedoścignionymi — panie dzieju! — wzorami czasów przedwojennych.

I na tym przeważnie koniec. Komuż by tam bowiem przyszło dziś do głowy przejmować się komunizmem! Wszyscy są święcie przekonani, że nie ma on u nas warunków rozwoju, bo to przecież jesteśmy krajem rolniczym, mamy przywiązanie do świętej zasady własności, nasz chłop jest konserwatystą, któremu w głowie nawet nie powstają jakieś tam farmazońskie androny przemycane przez naszą wschodnią granicę... Zażywamy więc *dolce far niente* w błogim poczuciu bezpieczeństwa...

Tymczasem — licho nie śpi. Liczne znaki na wschodzie i zachodzie wskazują na to, że kremlińskie jagniątka, zapewniające słodziutko o swym zrezygnowaniu z rewolucji światowej, bynajmniej nie złagodniały, jak to się być może niektórym wydaje. Z pod owczego futerka nieraz wygląda ordynarny wilczy pysk odsłonięty niebacznie na widok nęcącego żeru.

Paryska centrala Kominternu uszczęśliwia już skutecznie Hiszpanię, nie pozostając zresztą dłużną i gościnnej Republice Francuskiej. Jej zaś nieodrodna siostrzyczka w Pradze Czeskiej, przeznaczona do nie mniej czułej opieki nad Europą wschodnią, też nie zasypuje gruszek w popiele. Gdyby ktoś chciał skrupulatnie rejestrować wszystkie notatki o procesach komunistów, nabrałby rychło przekonania, że jej działalność nie jest bynajmniej taka znowu niewinna.

Otóż, kochany obywatelu. (bardziej lub mniej stateczny), nie daj się, bracie, nabrać i wystrychnąć na dudka! Nie wierz wilkom przybranym w owcze skóry, że niby to tylko trawki chcą zielonej, a padliną się brzydzą. Bo to teraz właśnie od tej strony próbują Cię bujać. Niby to legalnie i prawomyślnie w różnych super-humanitarnych i ultra-demokratycznych organizacjach siedzą. Niewinne książeczki wydają, do braterstwa, do pacyfizmu nawołują, przed „czarną reakcją" Ciebie gwałtem chcą bronić...

A gdy to wszystko weźmiesz — w prostocie ducha — za prawdziwą monetę, gdy uwierzysz: że nacjonalizm — to wstecznictwo, że antysemityzm — to barbarzyństwo, że religia — to przesąd, że obrona — to imperializm, i jeszcze w wiele innych rzeczy, — wtedy dopiero szepną Ci usłużnie, że prawdziwa wolność i sprawiedliwość panuje w „matuszce" Rosji i, że „batiuszka" Stalin o niczym innym nie myśli, tylko o tym, jakby Ci nieba przychylić!..

Miej się więc na baczności, kochany obywatelu, bo to są sposoby, przed którymi Cię żadna policja i żadne sądy nie obronią... Zresztą.. nie bardzo i mogą, bo trudno w naszym prawodawstwie znaleźć jakiś przepis, który by zwalczał taką właśnie, podstępną działalność.

A ustawy antykomunistycznej, jak nie było, tak nie ma, no bo jakżeż, — słyniemy przecież na całym świecie ze swojej tolerancji!...

ego.

WILNO WOŁA...

Na początek lipca b. r. została zwołana w Warszawie, konferencja przy udziale ministrów różnych resortów, przedstawicieli samorządu gospodarczego, przemysłu i handlu w sprawie podniesienia gospodarczego Ziem Północno-Wschodnich, stolicą których jest Wilno.

Specjalnie nic ważnego. Konferencja jak wiele innych. Najpierw otwarcie, ogłoszenie porządku dziennego obrad, kilka referatów, dyskusja, dużo szumu, reklama w prasie, może wypłacenie diet przyjezdnym członkom, wieczorem bankiet, powrót do Wilna i na tym koniec. Może na przyszły rok zwołają znowu taką skolei już setną, stopierwszą, a może sto drugą konferencję w tejże samej sprawie i wszystko to samo w kółko.

Być może, że coś robią na Wileńszczyźnie, być może budują mosty, szosy, drogi, koleje, elektrownie, stawiają fabryki, ale tego wszystkiego jakoś nie widać. Kraj cały nie odczuł na sobie jeszcze tych inwestycji.

Przyszła oto wreszcie chwila nawiązania stosunków dyplomatycznych z Litwą. Trzeba było na gwałt budować (nie reperować, bo były straszliwie zaniedbane) szosy, bo wstyd powiedzieć, w Litwie drogi i szosy przy granicy w porównaniu z naszymi były w cudownym stanie.

Teraz znowu zwołano konferencję.

Co tam będą mówić, nad czym się będą zastanawiać, jakie powezmą uchwały — dla nas to jest wszystko jedno. Faktem jest, że Wilno jest zamarłym miastem, że chłop wileński żyje w nędzy eksploatowany przez żydów, że słucha radia z Mińska, że komunizm panuje w nadgranicznych powiatach, że Polak czuje się tam jak nie u siebie w domu.

Znam ten kąt polskiej ziemi wszerz i wzdłuż. Znam Wilno i wszystkie miasta i miasteczka tej ziemi, związany z nią po przez wiele pokoleń, mam większe prawo, niż kto inny zabrać głos na marginesie odbytej konferencji.

Istotnym zagadnieniem jest czy Ziemie Północno-Wschodnie mają być polskimi ziemiami stricto sensu, czy tylko należeć do Polski. Nie znajdzie się ani jeden wilnianin, któryby był za tą drugą koncepcją.

Polityka jednak kroczy dziwnymi drogami i już 20 lat minęło od odzyskania niepodległości, a nie można z głębokim przekonaniem powiedzieć, że się coś robi, aby Ziemie Północno-Wschodnie stały się polskimi ziemiami.

Co prawda Ziemie te zostały pokryte dość gęstą siecią powszechnego szkolnictwa polskiego, ale w konsekwencji stawia to polskość w dewenzywie, bo wraz z rozwojem szkolnictwa winien iść rozwój gospodarczy, a tego wcale nie widać. Szkoła polska nauczyła dziecko czytać; czyta więc broszury komunistyczne i zaraża się psychicznie mirażem raju bolszewickiego, bo wokół niego nic się nie zmieniło od czasu wojny. Ten sam żyd — agitator komunistyczny, który daje mu do rąk broszury o krzywdzie i nierówności społecznej, kierując nienawiść do dworu — nie pozwala mu w miasteczku założyć sklepu, bo ten fach jest niepisanym przywilejem narodu wybranego.

Czyż nie jest dziwnym zjawiskiem i zastanawiającym, że nasz chłop w walce o swój byt jest zmuszony opuszczać ojczystą ziemię, udając się na tułaczkę i poniewierkę do Argentyny, Brazylii i Stanów Zjednoczonych A. P. Nawet takie małe państwo, jak Łotwa jest dla niego rajem wymarzonym, chociaż jest tam wyzyskiwany ile tylko się da.

Niema wprawdzie takiego prawa pisanego, zabraniającego naszemu chłopu osiąść w miasteczku i zająć się handlem, ale z samego stanu faktycznego wynika, że tego mu zrobić nie wolno.

Głównym sprawcą takiego stanu rzeczy jest Izba Przemysłowo-Handlowa w Wilnie, która dotąd jeszcze nie potrafiła wczuć się w teren na którym pracuje. Może z całą świadomością nie chciała tego uczynić, bo to przecież nie jest wygodne Vice-Prezesowi Abramowi Kawenokiemu i jego współplemieńcom.

Fundamentem wszelkiej akcji na Ziemiach Północno-Wschodnich, zmierzającej do podniesienia gospodarczego kraju i dobrobytu mas, jest w pierwszym rzędzie spolszczenie tej instytucji a następnie systematyczna praca według opracowanego planu.

Plan rozwoju gospodarczego tych Ziem winien przewidywać osiedlenie rzemieślników i kupców z zachodnich województw Polski, usamodzielnienie istniejących chrześcijańskich warsztatów pracy przy pomocy bezprocentowych kredytów oraz stworzenie takich warunków, przy których w pierwszym rzędzie młodzież kończąca szkoły powszechne i zawodowe mogłaby zakładać samodzielne placówki handlowe i przemysłowe.

Specjalnie w chwili obecnej zależy nam na zjednoczeniu narodowym i ściślejszym zespoleniu odległych kresowych ziem z centralną Polską.

W imię tego szczytnego hasła należy poświęcić całą naszą pracę i energię.

Musimy pamiętać, że ściśle związanie Kresów Wschodnich z pozostałymi dzielnicami Polski jest kwestią palącą, niecierpiącą zwłoki, a to tylko można osiągnąć przez unarodowienie handlu i przemysłu.

Zaprzestańmy więc nareszcie jałowych dyskusji i konferencji, które zaczynają już wchodzić w naszą krew i stają się powoli nałogiem. Czas dzisiaj pracuje na korzyść Polski i czas ten winien być produkcyjnie wykorzystany. Więcej czynu, więcej konkretnych faktow!

BOGUMIŁ KOWALSKI

Z PRZED PIĘCIU LAT

(Wspomnienie)

Rok 1933... Wśród najmłodszych piłsudczyków — jakieś dziwne i niespodziewane przemiany. Oficjalne ramy ideowe macierzystych organizacyj zaczynają im być za ciasne. Tu i ówdzie jakieś fermenty i bunty, jakieś poszukiwania nowych dróg i sformułowań... Co czynniejsze, co bardziej zdecydowane jednostki posuwają się nawet do zrywania więzów ze swoimi organizacjami; — wolą chodzić luzem, niż wyznawać ideologie, w których nie ma miejsca na ich nowatorstwa..

Nie wszyscy jednak chodzą luzem. Są i tacy, co się stykają dla wspólnych przemyśleń i dyskusyj. Ci wyczuwają dziwnie szybko, ze nic ich właściwie nie dzieli, że mimo różnych — zdawałoby się — terenów, z jakich przychodzą, mają wspólne dążenia i tęsknoty. Początkowo luźne, towarzyskie raczej spotkania, zaczynają po pewnym czasie nabierać cech jakby porozumienia, przetwarzają się jakby w odrębną placówkę myśli politycznej... W mozaice obozu pomajowego powstaje nowy twór — nieliczna, ale zwarta i zdecydowana grupa „Nowej Polski".

Nazwa to nie przypadkowa; owszem — zawiera sama w sobie, jak gdyby wskazanie kierunku, w jakim mają zamiar kroczyć młodzi buntownicy. Nawiązuje bowiem do koncepcji, która powstała w myślach i marzeniach Adama Skwarczyńskiego.

Nic w tym dziwnego, bo przecież sami inicjatorzy nowej grupy wyszli niejako ze szkoły Skwarczyńskiego. We wszystkich swych pracach, we wszystkich — niedoświadczonych jeszcze, młodzieńczych — poczynaniach społecznych stykali się z Jego życzliwą radą i mądrym wskazaniem; w jego słowach przyzwyczaili się szukać porywających ideałów, których znaleźć nie mogli w g ł o s z o n y c h u r z ę d o w o programach i hasłach; w nim, w jego myślach i pismach nauczyli się widzieć niezachwiany autorytet nauczyciela i wychowawcy...

Nikt bowiem tak, jak Adam Skwarczyński nie umiał przemówić do młodych umysłów i wyobraźni! Przemawiał do nich mocarnością swej myśli, która, mimo ujęcia jej w żelazne ramy logiki, owiana była zawsze urokiem romantyzmu.. jak gdyby dawnych wieszczów polskich. Przemawiał przykładem swego życia, które całe było pasmem poświęceń i ofiar, poczynając od entuzjastycznych porywów młodocianego Płomieńczyka*), aż do ostatnich dni, gdy jako uwielbiany przez otoczenie Pan Adam, mimo perswazyj lekarzy i próśb przyjaciół, poświęcił się cały, bez reszty sprawom publicznym, tłumiąc nadludzkim wysiłkiem woli cierpienia wycieńczonego ciała, dręczonego przez postępującą chorobę. Przemawiał wreszcie swym prostym i bezpośrednim stosunkiem do rzeczywistości, którego jedynym kryterium było zawsze bezgraniczne umiłowanie Narodu i jego sprawy, wyrazające się w poświęceniu wszystkiego dla Dobra i Honoru Polski...

Nowopowstała grupa „Nowej Polski" pragnie się ustosunkować do rzeczywistości w ten właśnie prosty i bezpośredni sposób. Grupa „Nowej Polski" widzi w Państwie Niepodległym najwyższe D o b r o Narodu, w potędze Państwa, w ustawicznym doskonaleniu jego form, w nieustannej ambicji postępu — widzi sprawę H o n o r u narodowego. Epopeję zmagań o Niepodległość rozumie, jako wyraz czynnego kształtowania i d e i n a r o d o w e j, — idei, która, jej zdaniem, była i pozostała treścią życia Wielkiego Marszałka, a która się staje naczelnym drogowskazem dla młodych pokoleń polskich.

Dlatego też wyrzeczenie się przez piłsudczyków miana nacjonalistów wydaje się nowej grupie t e r m i n o l o g i c z n y m n i e p o r o z u m i e n i e m, zaś rozdarcie młodego nacjonalistycznego pokolenia Polaków na dwa zwalczające się obozy — absurdem pełnym tragizmu i niebezpieczeństwa.

**) Młodzieńczy pseudonim A. Skwarczyńskiego, którym podpisywał swoje pierwsze prace (przyp. Redakcji).*

I oto, garstka zapaleńców rzuca swym starszym wychowawcom oskarżenie o n i e k o n s e k w e n c j ę i ucieczkę o d r z e c z y w i s t o ś c i. Swoich zaś rówieśników usiłuje przekonać, że antagonizm, jaki ich oddziela od młodych narodowców zgrupowanych poza obozem piłsudczyków, polega na przykrej pomyłce, którą t r z e b a l i k w i d o w a ć zarówno po tej, jak i po tamtej stronie bariery.

Wystąpienie grupy zostaje przyjęte w obozie z nieukrywanym niezadowoleniem, a nawet oburzeniem. Ortodoksyjni piłsudczycy (nie brak wśród nich i młodych) dopatrują się w nim początków politycznej herezji, niektórzy zaś posuwają się aż do ciężkiego oskarżenia o renegację ideową. Założycielom grupy daje się niedwuznacznie do zrozumienia, że prowadzą szkodliwą robotę, która zostanie zgnębiona w sposób bezwzględny, bez skrupułów i sentymentu. Stwierdza się przy tym, że o ile likwidacja tej roboty nie nastąpiła natychmiast, to tylko dlatego, że bomba wybuchła w okresie letnim, w czasie urlopów i ogólnego osłabienia politycznego tętna życia.

Dla młodej frondy zapowiadają się zatem ciężkie i denerwujące wakacje...

* *
*

W pierwszych dniach lipca kolega S.*), który w grupie „Nowej Polski" — jako że z nas wszystkich najstarszy wiekiem i urzędem — piastował godność kierownika na zasadach *primus inter pares*, został nagle wezwany na rozmowę z Adamem Skwarczyńskim. Wrócił zdenerwowany i przygnębiony. Musiał bowiem wysłuchać od Pana Adama, za siebie i za nas wszystkich, srogiego kazania na temat warcholstwa i aberacji ideowej. Musiał znieść niejedno przykre oskarżenie oparte na zniekształconych odgłosach i rozdmuchanych informacjach o naszej akcji, jakie dotarły snadź do cichego ustronia na Zamku Królewskim.

Zaprzeczył. Bronił się; próbował wyjaśnić, jak jest naprawdę. Pan Adam zapytał jednak tylko surowo — czy w tym wszystkim jesteśmy zgodni z naszym sumieniem. Gdy zaś gorąco potwierdził, wówczas nastąpiła nieoczekiwana propozycja. Ma się oto niedługo odbyć w Spale doroczny kurs działaczy społecznych — piłsudczyków z całej Polski. Właściwym celem kursu jest wzajemne skonfrontowanie dorobku i sprostowanie błędów; jest to jak gdyby spowiedź powszechna wszystkich przed wszystkimi. Mamy tam przybyć, aby się wyspowiadać i przekonać innych, bądź też ulec wymowie argumentów i wycofać się z zajętej niewłaściwej pozycji.

Kolega S. jest pochmurny. Kolega S. nie wierzy w sukces, bo zna powszechne uprzedzenie do naszej inicjatywy. Kolega S. uważa, że będzie to przyśpieszenie końca.

Ale kolega S. nie ma niestety wyboru. Nie ma go cała grupa. W tych bowiem warunkach nieobecność mogłaby się równać kapitulacji. Ktoś z nas tam musi być...

Wybór pada na kolegę S. i na mnie.

*
*

Skwarne, lipcowe przedpołudnie... Spała otoczona zielonym poszumem wiekowego lasu, kąpie się w słonecznej ulewie. Z puszystej zieloności parku wynurzają się stopniowo szare zarysy pałacu.

Nasz wehikuł — prawdopodobnie przez grzeczność tylko i szacunek do podeszłego wieku zwany samochodem — skręca w boczną aleję, po raz ostatni wydaje astmatyczne westchnienie benzyną i wreszcie się zatrzymuje. Gramolimy się wraz z kolegą S. na zewnątrz, z niewymowną rozkoszą dotykając nogami stałego gruntu. Ostatni etap podróży w tym steranym pionierze motoryzacji wymagał naprawdę niemałej odwagi i młodzieńczego zaiste hartu...

W pałacowym hall'u ozdobionym bogatą kolekcją łowieckich trofeów — rojno i gwarno. Jazgotliwy pogwar warszawiaków miesza się z twardą, rąbaną mową wielkopolan, z charakterystycznym lwowskim zaciąganiem, z rozmarzoną i powłóczystą śpiewnością „miłego miasta"... Naród widać dopisał. Przy jednym z dyskutujących żywo kółek spostrzegamy naszego warszawskiego znajomego posła X, który pełni pono na kursie obowiązki gospodarza. Zauważył nas, podchodzi, a witając się z moim towarzyszem zapytuje:

— Ma pan już referat przygotowany?

— Oczywiście.

— No, to dobrze, bo zaraz właśnie zaczynamy obrady.

Tymczasem z korytarza prowadzącego gdzieś w głąb pałacu cicho, bez szelestu, wytacza się fotel na kołach popychany przez ubranego na czarno służącego. W fotelu drobna, nikła postać owinięta od dołu ciemnym pledem z frędzlami zwisającymi prawie do podłogi. Szczupłe, przezroczyste prawie ręce zaciśnięte na poręczach fotelu. Głęboko wstecz cofnięta sucha, ascetyczna twarz o niesamowitej bladości podkreślonej kontrastem kruczoczarnych włosów i brody. Twarz skupiająca w sobie bezmiar cierpienia i woli, ożywiona dwojgiem oczu błyszczących przedziwną młodością, przenikliwych i uduchowionych oczu Adama Skwarczyńskiego, oczu mędrca i spowiednika, przeszywających, zdawałoby się na wylot ludzkie sumienia...

W hall'u zalega raptowna cisza. Rozmowy ustają w połowie zdania, jak gdyby słowa były czymś niestosownym wobec tego człowieka, który cały jest skupieniem. Fotel się zatrzymuje naraz po środku hall'u; snop promieni słonecznych wlewających się kaskadą przez okno, pada na pochyloną w zadumie głowę i odrzuca na przeciwległą ścianę ostry, wyrazisty profil. Podnosi głowę, wzrok jego kieruje się na nas. Zbliżamy się, aby zameldować przybycie.

Sucha, bezkrwista dłoń o długich i szczupłych palcach wyciąga się ku nam na przywitanie.

— A więc dzisiaj opowiecie nam swoje przemyślenia? Jestem bardzo ciekaw je usłyszeć. Bo to rozmaicie o tym mówią.

— Tak, — odpowiadam — przybyliśmy na spowiedź. Prosimy pana redaktora o sąd wyrozumiały.

Uśmiech... jakiś dziwnie tajemniczy i skinienie głową. Fotel toczy się powoli dalej....

* *
*

Za chwilę siedzimy przy końcu długiego stołu pokrytego ciemnoczerwonym suknem z dwoma szeregami bielejących na nim kartek papieru. Vis a vis nas, przy drugim końcu Pan Adam, nabijający starannie i systematycznie papierosa nad nieodłącznym drewnianym pudełkiem z tytoniem.

Czuję, że kolega S., który za chwilę ma rozpocząć referat, boryka się z gwałtowną, paraliżującą tremą. Rozpoczyna wreszcie od jakichś zawiłych definicyj nacjonalizmu, od filozoficznego podłoża poczucia wspólnoty narodowej.. Pan Adam w zamyśleniu pali papierosa, oparłszy wyciągniętą rękę na zamkniętym pudełku. Za oknem kołyszą się targane wiatrem gałęzie, rzucając ruchliwy, zielonkawy cień na twarze siedzących przede mną słuchaczy.

Prelegent pozbył się widać tremy. Wykład nabiera siły i przekonania. Przez salę coraz częściej przebiega szmer stłumionych szeptów, coraz więcej postaci pochyla się nad kartkami papieru, czyniąc w nich pośpieszne notatki. Pan Adam — skupiony i spokojny — jakby zastygł w zapatrzeniu w błękitny dymek papierosa...

Głos prelegenta wkracza w górne regiony. Doskonały mówca — rzuca z namiętnością kaznodziei przygważdżające oskarżenia; jak gdyby w wieszczym natchnieniu maluje wizję zgodnego marszu młodych pokoleń ożywionych wielką, powszechną Ideą ofiarnej służby Narodowi. Końcowe akordy przemówienia brzmią nieodpartą sugestywnością i urywają się nagle w jakiejś okrutnie mocnej poencie.

* *
*

W czasie przerwy zarządzonej przez Skwarczyńskiego, zostaję naraz sam na placu boju. Prelegent bowiem nie może czekać na dyskusję, gdyż zdołał się wyrwać ze swego służbowego kieratu zaledwie na kilka godzin.. Musi więc wracać natychmiast do Warszawy, przerzucając niestety na mnie cały ciężar repliki. Żegna mnie i dodaje otuchy, że to niby „nie nie taki sztraszny diabeł..." itd.

Mimo to czuję się nieswojo. Wszystko bowiem wskazuje na to, że w dyskusji rozpęta się burza. Coś za dużo tych kółek perorujących z zapałem po kątach palarni, jakoś zanadto stronią ode mnie dyskutanci, choć z niejednym z nich znam się wcale dobrze. Może to mi się tylko wydaje, ale odnoszę wrażenie, że ten i ów rzuca na mnie spojrzenie bazyliszka. Lecz to naturalnie tylko strach, który ma przecież duże oczy..

Tak czy inaczej — jest pewne, że do zajęcia się moją osobą jakoś się nikt zbytnio nie pali. Jedynie mój przyjaciel R. (niech mu obecnie Praga Czeska lekką będzie!) dzielnie dotrzymuje mi towarzystwa, starając się rozwiać moje ponure przeczucia. Ale cóż, kiedy poczciwiec sam ma minę nietęgą, jego zaś agumenty, które niby mnie mają podnieść na duchu, są wypowiadane takim tonem, jakby chciał powiedzieć: — „Nie bój się, sam jestem w strachu!"

Przewidywania zresztą nie były wcale przesadne. Przeciwnie, może nawet zbyt optymistyczne. Dyskusja bowiem jest jednym, nieustającym huraganem oskarżeń i potępienia. Rozpętują się pioruny argumentów piętnujących naszą lekkomyślność, brak kręgosłupa ideowego, podatność na obcą penetrację z zewnątrz obozu. Czuję, że audytorium chce z nami skończyć od razu, jednym uderzeniem; zmiażdżyć bez reszty, bez pozostawienia nadziei na możliwość regeneracji. Ani jednego słowa aprobaty, ani jednego uśmiechu zachęty!

Mój Boże, cóż ja im odpowiem: — tym dygnitarzom, posłom, senatorom, kawalerom Virtuti Militari?... Czym się obronię przed tą ulewą argumentów, przed powagą uczonych teoryj i wieloletniego doświadczenia?

Odpowiadam krótko; pomijając statystyki i analogie historyczne, których nie szczędzono w dyskusji, usiłuję, na przykładach wziętych z codziennej obserwacji, uzasadnić zarówno nasz nacjonalizm, jak i wiarę w możliwość współpracy z „tamtą stroną". Wiem, że moje argumenty nie trafiają do przekonania słuchaczy, ale na to nie mam rady.

Dyskusję zamyka Pan Adam. To, że zabiera głos właśnie, jako ostatni, potęguje u mnie wrażenie sądu. Oto wysłuchał stron i teraz wyda wyrok ostateczny...

Mówi cicho i powoli, jak gdyby myślał głośno. Mówi o tym, jak to często młodzież lepiej potrafi się wczuć w rzeczywistość, niż ludzie dojrzali, którym ich doświadczenie, rutyna i sentyment do własnej przeszłości wzrok zasłaniają. Wspomina o tym, jak to on sam i jego rówieśnicy szli drogami własnymi wbrew wskazaniom ojców i wychowawców, a jednak drogę obrali właściwą.. Analizuje wnikliwie pobudki, jakie wbrew rozsądkowi wyknęły dla nich drogę po przez Olcandry i nazywa je po imieniu... tak — to był nacjonalizm. Zgadza się z tym, że na walki wewnętrzne tracimy bezpowrotnie całe złoża energii Narodu i, że dążność do porozumienia, gdziekolwiek by powstała, jest inicjatywą rozumną i szlachetną. Wierzy wreszcie w możliwość porozumienia młodych myślących narodowo, bo dla nich przecież przeszłość — to tylko historia, bo rozmawiał zresztą nieraz z młodzieżą z opozycji i stwierdził, że ma ona dużo i dzielności, i patriotyzmu. Życzy więc naszej grupie, aby w obranym kierunku kroczyła nadal z pożytkiem dla Polski, dla tej Nowej Polski, którą ma w zawołaniu.

Widziałem, jak twarze słuchaczy w miarę, jak mówił, wyrażały z kolei: oczekiwanie, niepokój, zdziwienie, zaskoczenie i wreszcie jakieś nieme zapytanie połączone z rezygnacją. Sam zresztą niemało zaskoczony nieoczekiwanym zakończeniem sprawy, wiem, że minę też muszę mieć jakąś niemądrą. Budzi mnie z oszołomienia dopiero głos sąsiada, który każe mi iść do Pana Adama, bo chce się ze mną pożegnać.

Podchodzę, jak we śnie... Spotyka mnie dobrotliwy uśmiech i głębokie, jak gdyby wzruszone spojrzenie czarnych oczu. Podaną mi dłoń uściskam prawie z nabożeństwem. I nie wiem, doprawdy nie wiem — co mam powiedzieć!

Naraz szczupła ręka wyciąga się do dużego wazonu stojącego tuż na stole. Czerwieni się w nim wspaniały pęk pąsowych róż. Wybiera jedną z nich, największą, zroszoną kropelkami wody iskrzącymi się w słońcu i podaje ją mnie.

— Niechże pan weźmie to na pamiątkę naszej dzisiejszej rozmowy. Niech pan zawiezie swoim kolegom, jako moje pozdrowienie i dowód, że wierzę w was i wasz młodzieńczy zapał. Kwiat jest symbolem młodości, a jednocześnie kryje w sobie zarodek nowego życia...

Dokoła mnie jakaś dziwna mgła. Nie widzę już dobrotliwie uśmiechniętej twarzy, nie widzę róży, choć ją trzymam w ręce — rozpłynęła się w czerwoną, migotliwą plamę...

W oczach mam pełno łez.

* *

*) *Muszę, niestety, posługiwać się kryptonimami, gdyż nie posiadam upoważnienia do publikacji nazwisk. Gdyby jednak osoby zainteresowane takiej publikacji sobie życzyły, chętnie temu życzeniu zadośćuczynię (przyp. Autora).*

Po południu wyszedłem do parku, aby odetchnąć żywicznym spalskim powietrzem i uporządkować ogrom wrażeń doznanych w ciągu dnia. W alei zacienionej baldachimem gałęzi, po przez które tylko gdzie niegdzie przekradało się słońce, malując na piasku ruchliwy ornament, spotkałem Pana Adama. Siedział w swoim fotelu, śledząc wzrokiem zmienną grę świateł i cieni. Czekał na powóz, którym odbywał swój codzienny spacer.

Zaczął mnie szczegółowo wypytywać o to, jak się nasza praca dotychczas układa i jakie mamy zamiary na najbliższą przyszłość. Opowiedziałem o marzeniach zdobycia się na własne pismo, niezależne, dające pełny wyraz naszym przemyśleniom.

— A czy nazwę już macie dla pisma? — padło nieoczekiwane pytanie.

— Nie, jeszcześmy się nad tym nie zastanawiali.

Uśmiechnął się. A potem rzekł, patrząc gdzieś daleko, w koniec alei, w zielony ażur parku:

— A może.. „Czerwona Róża"... Miałoby to swój głęboki sens. Czy wie pan, że jest to nazwa dawnej organizacji, która miała coś wspólnego z waszymi dążeniami?...

Podjechał powóz. Służący uniósł prawie bez wysiłku dziwnie małe, jakby dziecinne ciało owinięte w pled i przeniósł z fotelu na siedzenie powozu. Konie ruszyły. Wymieniliśmy pożegnalne ukłony.

Stałem długo na miejscu, śledząc oczyma powóz, który się stawał coraz mniejszy, aż znikł za lekką smugą kurzu ozłoconego słońcem chylącym się ku zachodowi.

* * *

W ciągu pięciu lat wiele się zmieniło. Nie stało Pana Adama — uległ wreszcie nieubłaganej chorobie. Poryw grupy „Nowej Polski" ugrzązł w nadmiarze przeciwności i oporów. Nie ma już dawnej „Czerwonej Róży",— krótki jej żywot skończył się uwiądem i zapomnieniem, jak życie kwiatu, od którego wzięła nazwę. Rozproszyli się ludzie... Jedni, zniechęceni trudnościami, wycofali się w zacisze rodziny i obranych zawodów; drudzy odeszli pod inne sztandary, szukając tam treści właściwej; jeszcze inni, w pogoni za osobistą karierą, zapomnieli o ideałach młodości...

Nikt nie dziedziczy dzisiaj tradycji zespołu „Nowej Polski". Ale pozostali dawni wyznawcy jej ideałów, do ich zaś grona przybyli nowi. Nie zginęło bowiem ziarno rzucone niegdyś niewprawnymi rękoma młodych entuzjastów. Ziarno, które mimo chłodu i posuchy kiełkowało w umysłach, budząc w nich wiarę w możliwość i konieczność pojednania.

Pojednania przeciwników, których nic dziś nie dzieli oprócz ponurych widm przeszłości.

BOLESŁAW ŁUKOMSKI

Warszawa w lipcu 1938 r.

Z WYDAWNICTW

LIKWIDUJEMY ŻYDÓW

W powodzi haseł, okrzyków i fantastycznych nieraz postulatów w dziedzinie odżydzenia dzisiejszej polskiej rzeczywistości — trudno było dotychczas znaleźć coś, co prócz pięknie pomyślanej teoretycznej treści zawierałoby jakiś krok naprzód.

Ze strony oficjalnych regulatorów życia polskiego prócz „i owszem", które tak szeroki oddźwięk w Polsce znalazło, prócz mniej lub więcej wstydliwego odsunięcia żydów od niektórych dostaw — nie zostało dokonane żadne realne posunięcie, ani wskazany żaden plan takich posunięć na przyszłość.

I oto znów z inicjatywą odżydzenia wystąpiło społeczeństwo.

Z uznaniem powitać należy 12 jasno sformułowanych punktów broszurki „Likwidujemy Żydów", które są tak skonstruowane, że dadzą się dziś łatwo bez dalszych przygotowań wcielić w życie. a które stanowią właściwie pierwszy wyraźny i zdecydowany krok w ofenzywie Polskości.

Grupa nazwisk, podpisanych pod broszurką „Likwidujemy Żydów", wskazuje, iż inicjatywa ta wyszła z grupy wydawniczej „ABC", lecz nie wątpimy nawet ani na chwilę, że gdyby każdy, kto broszurę tę przeczyta i z nią się zgodzi, mógł ją też podpisać — lista tych podpisów objęłaby całą, zdrowo i realnie myślącą Polskę.

Te 12 punktów zmierzających do likwidacji żydów, to pierwszy krok poza ramy teoretycznych okrzyków — krok do walki, do zetknięcia się z wrogiem w polu. A w walce tej nie tylko życzyć szczęścia należy. Życzyć trzeba, aby każdy, kto mógłby się podpisać pod broszurką — stanął na swoim odcinku do czynnej walki o realizację 12 punktów likwidacji żydostwa. Tylko w ten sposób przejdziemy od słów do czynu.

A kto miałby jeszcze dziś wątpliwości, czy walczyć trzeba, niech przeczyta drugą, — z innego niewątpliwie środowiska politycznego, ale napewno równie polskiego, wywodzącą się — broszurę „Żydzi".

Pan Michał Wiśniewicz (Polska Organizacja Akcji Kulturalnej) daje jasny obraz, czym są u nas żydzi.

Daje cyfry o żydach w naszym życiu kulturalnym.

Po przeczytaniu broszurki — każdy zrozumie, że walczyć trzeba już dziś, walczyć — jeśli nasze życie kulturalne ma być Polskie.

Zabierzcie „Płomieńczyka" ze sobą na urlop i dajcie do przeczytania swoim nowym znajomym.

POLSKIE PRAWO NARODOWE

Cicho, bez zwracania uwagi szerszego ogółu, jakby w czterech ścianach własnego zawodu, zarysowała się na łamach dwóch pism fachowych „Głosu Sądownictwa" i „Współczesnej Myśli Prawniczej" wojna podjazdowa o „Polskie Prawo Narodowe".

Potyczki te, toczone przez grupę młodych prawników ze zmiennym szczęściem, wypady w kierunku bastionów tradycjonalizmu i obowiązujących dziś poglądów na prawo, spotykają się w „Głosie Sądownictwa" z ogniem zaporowym ciężkiego kalibru — z nazwiskami mędrców, z powagą doktorów.

Zjawisko to, tak zresztą powszechne dla dzisiejszej doby, gdy młodzi idą naprzód walczyć o Nową Polskę — mogłoby nie wyjść po za ramy prasy fachowej — ale wydaje się nam, że dotyczy ono tak ważkich kwestyj, iż powinno się stać tematem szerszych wypowiedzeń się. Zagadnienie prawa w Polsce jest zbyt doniosłe i było zbyt po macoszemu traktowane, by można je było chować pod sukno.

* * *

Młodzi, pełni zapału i woli zwycięstwa, jak sądzić trzeba z ich artykułów, stwierdzają, że dzisiejszy system prawny w Polsce, oparty na różnorodnych wzorach, przesiąknięty w wielu dziedzinach duchem liberalizmu i demokratyzmu, nie spełnia swej roli — nie będąc zgodny z polską psychiką, z polską racją stanu — że wreszcie nie przyczynia się on do rozwiązania aktualnych problemów społecznych i gospodarczych.

Twierdzą więc, że prawo dzisiejsze, napuszone i dalekie od życia, nieraz teoretycznie doskonałe w swej formie, a cierpiące na brak realnej treści, musi ulec bardziej lub mniej gwałtownej przebudowie — w celu przystosowania do realnych potrzeb Narodu.

Że, pojęcia zeszłych stuleci — równość, prawo własności — pojęcia tak bardzo już zmienione przez życie, a które w formie skostniałej pokutują w prawie — muszą ulec przeobrażeniu i dostosowaniu do dzisiejszych potrzeb i rytmu życia.

Starsze pokolenie („Głos Sądownictwa") wychodzi znowu z założenia, że nie młodzi, a właśnie doświadczeni, rutynowani prawnicy winni decydować o prawie i stwierdza, że wywody młodych odbiegły od tematu — są one rozważaniem problemów gospodarczych i społecznych, lecz nie są to problemy „prawa". Zdaniem ich poglądy młodych to ogólniki, to wreszcie „totalizm", który nie jest zgodny z duchem polskiej wolności. Na zakończenie ciskają ciężki pocisk w postaci zarzutu germanizacji prawa.

Tak wygląda w ogólnych zarysach pole bitwy — na którym pozornie ścierają się dwa teoretyczne poglądy prawne, a które w rzeczywistości. jest jednym z licznych skrzyżowań szpady pomiędzy dwoma światopoglądami.

* * *

Prawo w naszym rozumieniu — to potężny czynnik w każdej konstrukcji społecznej. To czynnik, który może zostać przez życie zepchnięty na bok i wtedy staje się dziwnie złośliwym lecz bezsilnym tworem; może też stać się czynnikiem hamującym rozwój — świadomie narzuconą przeszkodą — i takim niewątpliwie w wielu wypadkach było dla nas prawo zaborcze. Wreszcie może być czynnikiem twórczym, wychowawczym. Sądzimy, że prawo — to fundament, na którym musi się oprzeć nowy ład, a bez przeorania do gruntu założeń naszego systemu prawnego, fundament ten zawsze pozostanie kruchym i przebudowa połowiczną.

Dzisiejszy systemat naszego prawa przedstawia się jak wielki, olbrzymi gmach, bardzo misterny może, z wieloma, bardzo wieloma przeróbkami i przebudówkami, często bezużytecznymi, bez żadnej linii konstrukcyjnej i bez określonego przeznaczenia. Każde ministerstwo opracowywało i wprowadzało

w życie swoje projekty ustawodowcze, których koncepcje zależne, w różnych okresach czasu, od światopoglądów przypadkowych referentów, nosiły piętna zupełnie różnych kierunków. Życie polskie szarpane było przez koncepcje prawne raz w prawo, raz w lewo i rozwój jego szedł od wypadku do wypadku.

A wielkie, podstawowe nasze kodyfikacje?

Rzesza osób, skazanych na 6 miesięcy więzienia z zawieszeniem wykazuje, iż swej roli wychowawczej prawo karne nie spełnia. Zbyt sztywne ramy kodeksu nie pozwalają nawet bardzo „życiowym" sędziom na walkę ze szkodnictwem, wymykającym się z ram kodeksu. A proces nasz — ta ciężka maszyna, nastawiona na ochronę jednostki? Przypatrzmy się — czyż naprawdę dla ukarania drobnego nieraz przestępstwa, przywłaszczenia 5 złotych przez listonosza potrzeba aż trzech sędziów okręgowych? A bezprawia cywilne, długotrwałe procesy, w których nędza zostaje ze wszystkiego wyzuta, a sprytny kombinator wychodzi zwycięsko. Ubezpieczenia — które zawsze każdą składkę przyjmują, ale czyż istotnie spełniają swe zadanie? Reforma rolna i tyle, tyle innych dziedzin.

A wreszcie te zagadnienia, które dziś są rytmem budzącego się poczucia narodowego: — stworzenie polskiego życia gospodarczego, sprawa obcych kapitałów, agentur, sprawa walki z komuną, jako objawem psychicznym, walki z tym wszystkim, co w bojową gotowość Narodu godzi — te wszystkie problemy dzisiejsze, prawo nas obowiązujące pozostawia na uboczu.

Czyż nie dosyć, by konieczność gruntownej przebudowy prawa na Prawo Narodowe postawić, jako zadanie już dnia dzisiejszego?

W naszym rozumieniu prawo winno być wielkim czynnikiem twórczym, z celów historycznych i dzisiejszych Narodu czerpiącym swą treść i kierunek; czynnikiem, który z błędów przeszłości naszej, ze słabości naszych wyciągnąć umie wnioski wychowawcze.

Prawo karne musi być tak elastyczne i szybkie w reakcji, by jeśli nie zlikwidować to doprowadzić do minimum przestępczość. Każde inne jest złe. Proces cywilny zerwać musi wreszcie z formalną teorią dowodów; — dziś Naród jest bezpośrednio zainteresowany w tym, jak stosunki majątkowe między ludźmi się układają, i interes Narodu wymaga, by do procesu cywilnego wprowadzić inicjatywę sądu i pojęcie słuszności. Życie gospodarcze musi zostać prawnie uregulowane; spolszczenie jego nie tylko przez akcję społeczną, ale przez wyraźne, we wszystkich dziedzinach życia, ograniczenia i zakazy, przez ujęcie pojęcia własności jako funkcji obowiązków wobec Narodu — przeprowadzone być musi. System prawa musi przenikać bezwzględna walka z degeneracją psychiczną-komunizmem—ze wszystkimi jego przejawami — we wszystkich dziedzinach. Jeśli walczymy z pryszczycą — to tym bardziej z chorobą Ducha walczyć trzeba!

Prawo Narodowe, ożywione duchem ekspansji, musi zastąpić ustawy językowe na Kresach; — musi być tak pomyślane, by nikt nie mógł mieć wątpliwości, że dziś — Kresy — to Polska, a jutro — to środek Polski, a ludność — to Polacy.

Prawo winno być Narodowe, winno więc dla norm swych nie jednostkę, jako punkt centralny, ale Naród cały uważać: nie może być ono wytworem rozmyślań gabinetowych, winno regulować rozwiązanie konkretnych zagadnień, być wyrazem woli Narodu, winno stać się prawem, posiadającym wyraźny kierunek. Winno ono bowiem ułatwić Narodowi osiągnięcie tego, co jest Jego dążeniem: — osiągnięcie potęgi.

Polskie Prawo Narodowe — to, w naszym rozumieniu, całość norm obowiązujących Polaków norm konsekwentnie przez jeden cel powiązanych ze sobą, których racją bytu i sprawdzianem będą realne wyniki w życiu.

Nie bójmy się radykalnych i mocnych rozwiązań!

Bo bez nich nie zbudujemy Nowej Polski.

BRONISŁAW MOZERSKI

OKRUCHY PRZEMYSLEŃ

To co w życiu publicznym polskim widzimy, wskazuje, że jesteśmy narodem duchowo rozbitym. Okres niewoli, różne i sprzecznie działające na nas w tym okresie wpływy, brak poczucia realizmu życiowego przy nazbyt romantycznym podchodzeniu do spraw polskich przez ojców naszych — oto przyczyny naszej destrukcji duchowej.

Temu musimy przeciwdziałać. Przeciwdziałaniem zaś będzie kształcenie zwartej świadomości i woli życia zbiorowego. Naród nasz składa się z jednostek o wybujałym indywidualizmie. Ponad tę indywidualność i silniejsze od niej musi być poczucie zbiorowej indywidualności narodu.

Nie świątecznym, lecz powszednim dniem budujemy przyszłość Polski. W tym zaś, co nazywamy Polską, mieści się przede wszystkim nasz codzienny trud życia. Od jakości i celowości codziennego życia jednostek, od spraw pozornie nawet zupełnie osobistych i nie związanych z życiem publicznym, zależy opoka na której spoczywa całkowita konstrukcja narodu; opoką tą jest jego wartość moralna.

A przeto my, mając ambicje być dobrymi obywatelami, przede wszystkim zwrócić powinniśmy uwagę na nasze własne życie. Wówczas dopiero, gdy życiem godnym nazwy nowoczesnego rycerstwa polskiego przyczynimy się do podniesienia przeciętnej wartości moralnej obywatela polskiego, wówczas dopiero, będziemy mieli prawo przykładem, czynem i słowem oddziaływać na otoczenie i wiązać go we wspólnej pracy dla Polski.

•

Artykuł 7-my Konstytucji mówi, że „wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne".

Artykuł ten jest wyrazem rozumnie pojętej sprawiedliwości społecznej, słusznym bowiem jest, aby prawo oddziaływania na życie publiczne w Polsce nie przysługiwało obywatelowi tylko z tej jedynie racji, że jest, że żyje.

Wielkość narodu zależy nie od liczby, lecz wartości jednostek, dlatego wartość społeczna jest konstytucyjną miarą obywatela. I odwrotnie. Ci, którzy na dobro powszechne nie oddziaływują dodatnio, muszą mieć uprawnienia publiczne, w stosunku do jednostek dodatnio działających, — pomniejszone. Ci zaś, których działalność ma ujemne skutki, muszą mieć te uprawnienia — odjęte. Są wreszcie i tacy, którzy muszą być w ogóle eliminowane ze wspólnoty narodowej.

W tym mieści się nasz stosunek do wszelakiego rodzaju szkodników społecznych i narodowych, do tych wszystkich, którzy publicznego dobra nadużywają, do tych, którzy obniżają poziom moralny, tych, którzy do kultury polskiej i życia narodowego przemycają destrukcyjne lub obce duchowi narodu polskiego elementy, do tych wreszcie, którzy żerowisko z gospodarstwa narodowego czyniąc, dla osobistego wyłącznie dobra pracują.

•

To stanowisko zajmując, pamiętamy o zakończeniu artykułu 7-go Konstytucji: „ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia tych uprawnień".

Byłoby bowiem sprzeczne z tradycją polską i charakterem Narodu upraszczać zagadnienia sięgające najgłębszych przejawów naszego życia narodowego do kryteriów wyznaniowych czy narodowościowych.

Obok żyda, który, w ten czy inny sposób, szkodzi interesom narodu, z czystym sumieniem postawić winniśmy wszystkich, których działalnoćś wpływa ujemnie czy destrukcyjnie na życie publiczne w Polsce — każdego komunistę czy defraudanta grosza publicznego choćby on był czystej krwi Polakiem. Ta równa wobec narodu odpowiedzialność każdego, kto na jego szkodę działa, jest podstawą sprawiedliwości narodowej. Dopiero wtedy, gdy w sumieniach swych jednaką miarą ważyć będziemy wszystkich obywateli, dopiero wtedy, wypływa, odrębna, kwestia żydowskiej mniejszości narodowej, jako elementu obcego i niewątpliwie groźniejsze-

go od każdej innej mniejszości — bo rozlanego po całym kraju i gospodarującego we wszystkich chyba dziedzinach kultury i gospodarstwa polskiego.

Walka z elementem żydowskim, jako mniejszością narodową, jest koniecznością i słuszną jest mobilizacja sił polskich na tym froncie. Walka ta jednak nie może odbywać się przy pomocy brutalnej siły i przemocy fizycznej. Ta — najłatwiejsza forma walki musi ustąpić innej — trudniejszej, lecz i skuteczniejszej: wewnętrznemu imperializmowi polskiemu.

M. D.

JÓZEF PIŁSUDSKI O KONSOLIDACJI

Jednolitość mogłaby być osiągnięta, gdyby grupy polityczne..... rozporządzały większą sumą znajomości wzajemnej. Pomiędzy ludźmi politycznymi Polski istnieje nieprzebyta ściana złożona z podejrzeń, obaw wszelakich i uprzedzeń, a nawet starych porachunków. Polacy pomiędzy sobą są, niestety, wrogami nieubłaganymi. Jest to dziwna struna psychiczna, która stała się naszą właściwością, naszą cechą organiczną. Gdyby ta właśnie struna osłabła, postulat jednolitości stałby się natychmiast możliwym.

JÓZEF PIŁSUDSKI
(Wywiad w Tygodniku Illustrowanym rok 1917)

...chcę zgody i jedności, nie sądzę jednak, aby zgoda i jedność pojmowane być mogły w społeczeństwie nowoczesnym jednostronnie. Nie sądzę, aby zdrowym było oszukiwać siebie twierdzeniem, że „wszystkie koty są szare“, gdyż bywa to tylko wtedy, gdy zgodnie z przysłowiem noc panuje i wzrok ciemności zasłaniają. Przy pierwszym blasku dnia cała tęczowa różnobarwność występuje na jaw, od jaskrawej czerwieni począwszy, kończąc ciemnym fioletem.

Podstawą takiej zgody może być tylko praca, nie żądająca od nikogo wyrzeczenia się swojej indywidualności, wyrzeczenia się swoich myśli. Rzetelna zgoda i jedność oparta być może jedynie na współpracy, a nie na ekskluzywności.

JÓZEF PIŁSUDSKI
(Przemówienie na święcie zjednoczenia armii polskiej rok 1919).

Kompromis jest nieszczęśliwym słowem. W wielu umysłach łączy się ono z pojęciem zdrady.

Tymczasem kompromis jest ściśle związany z istotą demokratyzmu. Polega on bowiem na uznaniu, że nie tylko moja wola jednej strony, czy chęć jej jest uprawniona do przejawienia się w państwie, lecz że równe prawa ma wola i chęć innych. Kompromis jest ułatwiony, gdy i jego konieczność, narzucająca się sama przez się, urasta w zasadę szanowania innych, jako współobywateli. Współpraca wtedy jest łatwa i wola jednej strony nie sięga nigdy po laury dominowania „coute que coute“*) we wszystkich przejawach życia państwowego.

JÓZEF PIŁSUDSKI
(Przemówienie na zebraniu w Prezydium Rady Ministrów rok 1922)

*) Za wszelką cenę (tłum. Redakcji).

NA BEZDROŻACH SAMORZĄDU

Na konferencji prasowej w dniu 24 czerwca b.r. Pan Premier słusznie stwierdził, że największym przebojem obecnej sesji parlamentarnej są sprawy samorządowe, — ściślej mówiąc, wniesiony przez Rząd do Sejmu projekt ustroju stolicy oraz projekt ordynacyj wyborczych.

W związku ze zbliżającym się okresem wyborów samorządowych — istotnie — każda sprawa, mająca wpływ na te wybory nabiera cech szczególnej aktualności; obawiamy się jednak, że w oświetleniu wyborczym właściwe zagadnienia samorządowe nie są należycie doceniane.

Zagadnienia samorządowe należą niestety do tych spraw, które w Polsce nie mają dobrego dla siebie klimatu. Cząstkowy i okaleczały samorząd odziedziczony po zaborcach, z tkwiącą w nim obcą myślą państwową, różnorodny zarówno w formie jak i wadze gatunkowej, nie mógł stać się podwaliną rozwoju samorządu polskiego. Z drugiej strony, pamiętając o różnych wybujałościach polskich nie możemy zbytnio się dziwić, że decydujące czynniki nie chciały zbyt pochopnie samorządu rozbudowywać. Stanowisko to jest o tyle szczęśliwe, że gdy wreszcie przystąpimy do systematycznej budowy polskiego samorządu, nie będziemy natrafiać na zbyt wielkie trudności stanu istniejącego.

Skoro jednak o samorządzie mówimy, nie od rzeczy będzie uświadomić sobie, że aby przyszły ustrój samorządu prawidłowo funkcjonował, musi on być tworem dojrzałym, należycie rozwiniętym i posiadającym dostateczne do samodzielnego życia siły. W chwili obecnej żadna z istniejących form warunkom tym nie odpowiada. Najlepiej rozwinięty samorząd terytorialny nie posiada, przewidzianego zresztą, trzeciego stopnia — jakim jest samorząd wojewódzki. Instytucje zaś koordynujące poczynania samorządu terytorialnego t. j. ich związki, spełniają rolę jakby ich związków zawodowych, nie wyposażonych w takie uprawnienia, które by usprawiedliwiały ich istnienie, jako nadrzędnej emanacji samorządu terytorialnego. Struktura tego samorządu jest mimo najlepszych wysiłków zainteresowanych czynników wadliwa a podstawy jego działalności niezbyt dokładnie ustalone.

Nie lepiej dzieje się na terenie samorządu gospodarczego. Istniejące Izby, częściowo tylko w zakresie przemysłu, handlu, rzemiosła i rolnictwa spełniają swe obowiązki. Ale i tu podstawy tej działalności nie są jeszcze dostatecznie silne dla ich rozwoju. Samorząd t. zw. zawodowy znajduje się bezmała jeszcze w stanie embrionalnym a zupełnie niema jeszcze przedstawicielstwa świata pracy, i to zarówno miejskiego jak i wiejskiego, a więc elementu podstawowego dla wszystkich poczynań gospodarczych.

Uregulowanie tych wszystkich zagadnień w przyszłości pozwoli na stworzenie w Polsce pełnego ustroju samorządowego jako przedstawiciela gospodarczych, zawodowych i terytorialnych interesów ludności. Ustalenie kompetencji, podstaw finansowych, dość szeroki udział w administracji państwowej, zniesienie dualizmu władz państwowych i samorządowych w niektórych dziedzinach administracji publicznej, — oto — podstawowe warunki prawidłowego rozwoju struktury życia samorządowego.

Wracając do zagadnień bieżących, stwierdzić należy, że na ich czoło wysuwa się sprawa ustroju stolicy. Niestety, zainteresowania ogółu, narazie przynajmniej, skupiają się przede wszytkim na prawach ordynacyj wyborczych. tak jak gdyby w takim czy innym systemie wyborczym leżała istota zagadnienia. Z daleka nadchodzący zapaszek wyborczy nęci tych wszystkich którzy w takich okresach wypływają na arenę życia publicznego. Już dziś wiadomym jest. że z wyborów samorządowych, które powinny być próbą sił gospodarczych, niektóre ugrupowania będą chciały uczynić generalną próbę przed wyborami parlamentarnymi. I wiemy już, że pod tym kątem ustosunkowujące się do wyborów samorządowych niektóre ugrupowania — starym systemem —demagogii, szkalowania i wszelkich dostępnych im machlojek wyborczych odbędą bieg na przełaj na fotele radzieckie. Bieg ten będzie się nazywał „walką o samorząd“. W istocie będzie to bieg o wpływy na kasy samorządowe, o zajęcie szeregu posad, o dorwanie się do korytka subwencyjnego. Rzecz prosta, że takie ustosunkowanie się do wyborów samorządowych nic nie ma z samorządem wspólnego

I dlatego właśnie, ordynacje wyborcze winny być tak skonstruowane, aby do organów ustrojowych gminnych weszli ludzie dla których samorząd jest warsztatem pracy a nie żłobem.

Drugie zagadnienie, znacznie ważniejsze, bo wkraczające już istotnie w podstawowe zagadnienia samorządowe, to sprawa ustroju stolicy. Jej dynamika rozwojowa i wciąż jeszcze za powolne tempo w doganianiu potrzeb, musi dostać odpowiednią formę ustrojową i podstawę finansową. Nie może samorząd stolicy stać się terenem gier politycznych i personalnych. Stolica jset własnością całego kraju i dlatego mamy prawo wymagać, aby ustrój jej gwarantował stałą i systematyczną pracę nad jej rozwojem, aby dostatecznie zabezpieczał interesy ludności szczególnie tej, która dookoła dzielnic śródmiejskich mieszkając, jest pożywką dla jej centrum, aby wreszcie zniesiony został dualizm władz w niektórych dziedzinach administracji, dualizm który utrudnia pracę i realizację największych zamierzeń.

Reasumując, wydaje się nam, że jaknajsilniej należy podkreślić podstawowe założenie: samorząd musi być z mocy ustawy i autorytetu dość silny aby wypełnić nałożone na niego zarówno ze strony administracji państwowej jak i ze strony ludności obowiązki. Obowiązki te musi spełniać z pełnym poczuciem odpowiedzialności i fachowości, nigdy zaś nie może być reprezentantem kierunków politycznych lub też wypadkową gierek i machlojek wyborczych. Musi wreszcie wypełnić spoczywające na nim zadanie moralne: wzbudzenia w społeczeństwie świadomości, że jest ono współtwórcą państwa a nie tylko kontrahenten związanym z nim przymusem istniejących faktów.

M. UDERSKI

Ze względu na okres wakacyjny, następny numer „Płomieńczyka“ ukaże się we wrześniu r. b.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Królewska 49 m. 34 tel. 3-37-95. PRENUMERATA: rocznie 3 zł, półr. 1,50 zł. Konto PKO. 4.425. Administracja czynna we wtorki i czwartki od godz. 17 do 18.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: Tadeusz Skonieczny.

Sal. Szk. Rzem. Dział Graf., Warszawa, ul. Ks. Siemca 6, tel. 5-37-72